

Komunizm po prostu konsekwentny

29 maja 2015

Czerwoni Khmerzy, a zwłaszcza ich losy po przegranej wojnie z Wietnamem – to wyjątkowo dobitny przykład wcielania w życie amerykańskiej zasady „may be a son of a bitch, but our son of a bitch”.

ZROZUMIEĆ NIE ZNACZY USPRAWIEDLIWIĆ

Zarówno bezpośredni (zewnętrzni) obserwatorzy sytuacji w Demokratycznej Kampuczy, jak i zwłaszcza działający z pewnej perspektywy analitycy, opisujący politykę Czerwonych Khmerów, cofali się często przed najprostszą, a więc i pewnie najwłaściwszą konkluzją, że Pol Pot bynajmniej nie dopuścił się jakiegoś fundamentalnego odstępstwa od marksizmu-leninizmu, tylko po prostu był najbardziej konsekwentnym praktykiem tej idei. Przed takim oczywistym wnioskiem cofali się badacze komunistyczni, tak głównego nurtu, jak i nawet trockistowscy [1]. Pierwsi, skażeni postępującą po destalinizacji erozją ideowości ruchu i jego efektywnej defensywy, ci drudzy częściej z racji programowych, mniej metod działania, a także w związku z fundamentalną opozycją trockizmu wobec stalinizmu, a zatem i jego azjatyckich mutacji i następstw. Z kolei lewica zachodnia (i część środowisk lewackich) odżegnywały się od „polpotyzmu”, zarzucając mu grzechy tak fundamentalne jak nacjonalizm, czy wręcz rasizm, w oczywisty sposób wołąc odciąć się od czarnej legendy „pół śmierci”, zamiast równocześnie na tym tle punktować propagandę i politykę amerykańską.

Z kolei prawica antykomunistyczna przeciwnie – uznawała Czerwonych Khmerów za „pełnoprawnych” uczestników światowego ruchu komunistycznego, chętnie przywołując rzekomą zachodnią, „sorbońską” inspirację Pol Pota, jednocześnie ignorując

historyczno-socjologiczny kontekst działań kierownictwa Komunistycznej Partii Kambodży – Angkar Loeu. Po prostu „każdy komunizm jest zbrodniczy, więc nie ma się co zastanawiać czy/dlaczego akurat khmerski był bardziej krwawy od innych” – powtarzają czytelnicy i autorzy kolejnych „czarnych ksiąg komunizmu”, co jednak jest spostrzeżeniem o umiarkowanej politologicznie przydatności. Jeszcze inną (też daleką od ortodoksji) wersję przedstawia w ramach swego niekończącego się wykładu „Wszechświat a liberalizm” Janusz Korwin-Mikke, zapewniając, że eksperyment kampuczański zwinęli sami Chińczycy, już rozpoczynający własną drogę dengizmu. Tymczasem „polpotyzm” należy przecież – jak każdą inną ideologię i praktykę – zrozumieć i wytłumaczyć, co przecież wcale nie jest równoznaczne z jej usprawiedliwieniem.

ROK ZERO – CZYLI OPRÓŻNIENIE BURDELU

W zasadzie nie da się w Polsce pisać o Kampuczy nie będąc przynajmniej w podświadomości „nagrany” znakomitym (a w dodatku jedynym nie tylko w tej epoce, ale i o takim wymiarze dokumentalnym) reportażem Zbigniewa Domarańczyka [2]. Pisząc jednak w konkretnym momencie (kilka tygodni po zajęciu Phnom Penh przez wojska Zjednoczonego Frontu Ocalenia Narodowego Kampuczy i Wietnamczyków) oraz w związku z zaocznym procesem wytoczonym przez nowe władze Pol Potowi i Ieng Sary’emu – Z. Domarańczyk mógł tylko dotknąć wyjaśnienia, dlaczego Czerwoni Khmerzy zdobyli władzę i czym mogły być motywowane niektóre ich radykalne decyzje.

W istocie bowiem dowolny badacz chciałby widzieć w reżimie Angkar Loeu po prostu kolejną mniej lub bardziej krwawą dyktaturę, traktującą wyznawaną ideologię tylko jako wygodne i wiarygodne alibi dla własnych rządów, przy jednoczesnym jednak pozostawieniu pewnego marginesu swobody, choćby w myślach rządzących. Tymczasem Demokratyczna Kampucza była efektem nie tylko założeń ideologicznych ruchu, ale także reakcją na politykę poprzednich władz, poddanych protektoratowi amerykańskiemu – no i wyeliminowaniem możliwości pojawienia

się tendencji opozycyjnych niemal do zera. Niemal – co zaważyło ostatecznie na historycznych porażkach i ewolucji całego ruchu Czerwonych Khmerów (ostatecznie jednak dowodząc jego zdolności adaptacyjnych).

Z podobnymi problemami – z rozwiązaniem dylematu Winstona Smitha borykał się już Józef Stalin. Generalissimus posłużył się metodą terroru państwowego, stosowanego wg siatki pozorowanego chaosu, wywołującego u poddanych nieustanną czujność tak, aby nigdy nie wejść w krąg podejrzeń władzy – co jednak i tak nie dawało jednostce stuprocentowego bezpieczeństwa. Pol Pot (zapewne analizując ten sam problem) miał jednak możliwości znacznie wykraczające poza realia radzieckie, nie mówiąc już o Europie Wschodniej. W znajdującej się w erze preindustrialnej Kampuczy kompradorska inteligencja/klasa urzędnicza faktycznie była naroślą. 1,5-milionowa stolica, do której część 6-milionowego narodu spędzono dla lepszej kontroli i postępującego rozkładu w jednym wielkim skorumpowanym „burdelu” – rzeczywiście była ciałem obcym i obciążeniem. Rozbudzony rozkradanymi dotacjami wojennymi Amerykanów konsumpcjonizm groził spoistości społeczeństwa, a alternatywna, komunistyczna droga w duchu wietnamskiej dominacji w Indochinach – nawet na polu czysto ekonomicznym groziła utratą samodzielności (np. energetycznej). W tej sytuacji Pol Pot okazał się po prostu komunistą konsekwentnym, eliminując całość potencjalnej opozycji (w liczbie zresztą odpowiadającej zresztą wcześniej wymordowanym dywanowymi nalotami amerykańskimi, czyli ok. 600 tys. obywateli Kampuczy) oraz obszary społeczne mogące umożliwić jej odrodzenie. Bez przegranej w wojnie z Wietnamem – system Angkar Loeu nie upadłby, unicestwione bowiem zostały wszystkie wewnętrzne czynniki jego potencjalnego rozkładu.

O WYŻSZOŚCI GEOPOLITYKI NAD IDEOLOGIA

Rządy Czerwonych Khmerów będąc więc reakcją na wyjątkowo negatywne skutki amerykańskiej hegemonii – powstały, a następnie upadły wskutek rywalizacji radziecko-chińskiej,

fatalnej w skutkach dla całej światowej opcji nie-amerykańskiej. „Polpotyzm” był zresztą w tym zakresie nadal tylko „konsekwentniejszym maoizmem”, realizującym plan przymierza z mniej groźnym lokalnie (jak uznano) imperializmem amerykańskim przeciw imperializmowi radzieckiemu, nieprzypadkowo zresztą jeszcze w czasie samodzielnych rządów w Phnom Penh Czerwoni Khmerzy zachowywali przyjazne relacje z titoistyczną Jugosławią, a w latach 1980’ i 1990’ funkcjonowali już wprost jako geopolityczne narzędzie Waszyngtonu.

Co ciekawe więc, Mao Zedong, a potem Pol Pot mieli w pewnym sensie rację podnosząc, że odejście od stalinizmu, a więc twardego ideologicznego uzasadnienia dla skrajnie radykalnej inżynierii społecznej jest nie do przyjęcia dla społeczeństw na tak niskim poziomie rozwoju ekonomicznego. Neguje bowiem ideologiczne, mitotwórcze uzasadnienie dokonywanej przemiany, dla której konieczne było np. zredukowaniem konsumpcyjnych potrzeb jednostek do absolutnego minimum. Chiny uparły się, a Kampucza następnie przyjęły zmodyfikowany etnicznie i lokalnie stalinizm, jednocześnie jednak całkowicie zaprzeczając mu geopolitycznie, decydując się na krajowy (narodowy khmerski) partykularyzm, uzasadniający czasowe i taktyczne relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Ślepe trzymanie się ideologii wygrało więc z geopolityką, czego ostatecznie skutki (zwłaszcza dla Khmerów) okazały się jednak fatalne. Z punktu widzenia obecnych procesów integracyjnych to kwestia szczególnie istotna. Obecnie wprawdzie (wbrew polskim anachronicznym wizjom) nie widać elementów spornych mogących zagrozić tej budowie „nowego imperium Czyngis Chana”, ani utrudnić jego rolę w ramach takich konstrukcji jak BRICS. Warto jednak zauważyć, jak partykularyzm, nawet teoretycznie uzasadniony, szkodził podobnym geopolitycznym konstrukcjom w przeszłości.

CO DALEJ Z KAMBODŻĄ?

Czerwoni Khmerzy swoje rządy w szybko opustoszałym Phnom Penh zaznaczyli jednym symbolicznym gestem – wysadzeniem gmachu

banku, tym samym kończąc dyktat nad swoim państwem, przeciw któremu się buntowali – a któremu potem znowu chętnie poddali powracając do opozycji. Współczesne Kambodża, wciąż, a raczej na powrót od lat – rządzona przez Hun Sena (a więc niegdyś realizatora prowietnamskiej i proradzieckiej linii geopolitycznej) stara się powielać ścieżkę ewolucyjną Wietnamu i Chin, jednak przy coraz wyraźniejszym wpływie MFW, WTO i neoliberalnych reformatorów gospodarki (co akceptuje także część następców Angkar Loeu), co może wywołać próbę przełożenia rosnących wpływów gospodarczych Zachodu na polityczne, a więc tzw. demokratyzację i transformację państwa. Władze w Phnom Penh będą więc tym razem musiały bardzo poważnie zastanowić się co dalej, a więc czy wybrać opcję ideologiczną – nieco na wyrost wygłaszane pochwały pod adresem „prymusa dzikiego kapitalizmu”, czy rozważyć opcję geopolitycznie i socjalnie bezpieczną. Tym razem sprzeczność nie jest na miarę biologicznego, jednak z pewnością ekonomicznego przetrwania narodu. Tym bardziej, że wybór zły i pochopny mógłby otworzyć drogę do jakiegoś nowego Roku Zero, tym razem wychodzącego nie z dżungli, ale z walących się fabryk, w których khmerskie dzieci szyją za centa noszoną na Zachodzie konfekcję. I nie jest powiedziane, że ponownie to nie Waszyngton mógłby z takiej reakcji odnieść korzyść.

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: Geopolityka.org

BIBLIOGRAFIA

1. <http://1917.net.pl/node/10021>
2. Zbigniew Domarańczyk, „Kampucza, godzina zero”, Warszawa 1981.